

◆ JOE HILL ◆



ALBATROS

[Recenzja] "Gaz do dechy" Joe Hill

Fahrenheit Crew

To u nich rodzinne

Nie jest tajemnicą, że Joe Hill to tak naprawdę Joseph Hillstorm King. W czasach, gdy debiutował i chciał uniknąć bycia postrzeganym jako syn swojego ojca (dlatego „schował się” za pseudonimem), gdybym nawet wówczas dysponował taką wiedzą, zaczynanie od powyższego stwierdzenia byłoby nietaktem. Jednak teraz, gdy odniósł już samodzielny sukces, i nie tylko nie ukrywa, że jest potomkiem Króla Horroru, ale i wydaje się dumny z takiego pochodzenia - vide powstałe jako efekt ojcowsko-synowskiej współpracy, a wchodzące w skład o omawianego zbioru opowiadanie „Throttle” (że zostaną przy oryginalnym tytule) i (arcyciekawa, biograficzna) przedmowa do "Gazu do dechy" - można mieć nadzieję, że - gdyby jakimś cudem przeczytał niniejszą recenzję ;) - nie pogniwałby się za stwierdzenie, że widać rodzinny, kingowski, talent do opowiadania historii. Ba, jest może nawet Hill, gawędziarz w tradycji swego ojca i... Ray'a Bradbury'ego (IRL chyba też, jeśli nie jest to literacka maska) czasem... aż za dobry w tym, co robi, bo zasłuchuje się chwilami człowiek w melodie czytanych słów i gubi wątek, nie tracąc jednak przyjemności z lektury, i nie zaczynając wątpić w talent autora, który swobodnie posługuje się różnymi konwencjami, od klasycznego horroru, przez mroczną, choć baśniową, fantasy, po postapokaliptyczną science fiction. Niemniej, choć każdy utwór Josepha napisany jest tak sprawnie, że równie dobrze mógłby wyjść spod pióra słynniejszego Stephena (i gdyby tenże się pod nim podpisał, nikt nie zorientowałby się w mistyfikacji), przypominają się słowa, jakimi doktor hab. Dariusz Brzostek podsumował "Oko potwora":
"Kończąc swą refleksję wyznam zatem, że jak dotąd nie mam wrażenia, iż Jacek Dukaj napisał najlepsze powieści Lema. Jak dotąd...". Mówiąc inaczej: syn bardzo skutecznie idzie w ślady rodzica, ale nie tylko wyprzedzić go dotąd nie zdołał, ale nawet nie doścignął jego czołowych dokonań.

Przy czym, paradoksalnie, największą ozdobą omawianego zbioru jest - jak już zasugerowałem - przedmowa do niego, pokazująca, jak to jest: być potomkiem słynnego autora fantastyki grozy, i dorastać w środowisku ludzi specjalizujących się w zawodowym tworzeniu opowieści o upiorach, zombich i potworach (znakomite historie z planu "Creepshow"), a nasycona licznymi odniesieniami do amerykańskiej popkultury. Przedmowa, w obecnym wydaniu, niepotrzebnie popsuta intensywnym przekładaniem rozmaitych tytułów i nazw postaci na język polski. Co jest równie zbędne, jak robienie ze „Star Treka” - „Gwiezdnej wędrowni”. Paradoksalnie, polscy fani fantastyki łatwiej skojarzą (jeśli nie sami, to z pomocą Google) oryginalne nazewnictwo, niż jego, nie zawsze zręczne, tłumaczenia.

Pewne wątpliwości może również budzić okładkowe sformułowanie o autorze młodego pokolenia. Joe Hill ma 48 lat. Jak na literaturę w ogóle, okolice czterdziestki to jest faktycznie dość typowy wiek debiutanta (choć zdarzają się wyjątki, np. Dorota Masłowska), jednak jak na fantastykę - niekoniecznie (wystarczy wspomnieć, w jakim wieku opublikowali swoje pierwsze utwory Asimov i Dukaj). Podsumowując... jeśli szukacie tzw. Wielkiej Literatury, to nie ten adres, jeśli jednak macie ochotę spędzić wieczór (lub kilka) z opowiadaczem wciągających historii, "Gaz do dechy" nie powinien Was zawieść. Jeśli jesteście fanami utalentowanej rodzinny Kingów (czy któregoś z jej nazwanych przedstawicieli), z pewnością już po ten zbiór sięgnęliście.

Juliusz „Q” Mróz